ROZMAITOŚCI.

Dnia 6 grudnia, Ner 49. roku 1845.

SZEWC SEWILSKI.

Okropny głód panował w Andaluzyi. Ludzie znużyli się już daremnémi modłami i zaczęli szemrać. Kilku klasztorom, gdzie, jak mniemano, obfite zapasy zboża się znajdowały, zagrożono rabunkiem. W tak smutnych okolicznościach przybył król Pedro Okrutny do Sewilli. Lud przyjął go zimno, z niechęcią.

Tegoż samego wieczora przebrał sie król Pedro swoim zwyczajem i wyszedł potajemnie z pałacu, aby się naocznie o nędzy ludu przekonać. Przechodząc koło pracowni szewca Fraquillo, która właśnie u jednego z narożników katedry św. Antoniego, tuż pod wieżą Giralda się znajdowała, usłyszał król ciche westchnienia i te słowa:

»Ha, gdybym ja tylko na dwadzieścia cztéry godzin był koregidorem sewilskim, mielibyśmy chleba do sytu.«

W kilka godzin otrzymał szewc Fraquillo rozkaz od króla, objąć na dwadzieścia cztéry godzin urząd koregidora sewilskiego, i dostarczyć w tym czasie chleba ludowi, albo być powieszonym. Nowy koregidor nie zląkł się bynajmniéj tego ostatniego warunku, lecz zwołał natychmiast swoich alguazylów i wysłał ich do mieszkania dwóch bogatych skąpców, don Bringos i don Guttieres, rozkazując im, aby nagromadzone tam zboże w téj chwili pomiędzy lud rozdzielili, lub na szubienicę się przygotowali. Ci woleli oczywiście pozbyć sie zboża niż wisiéć, a nazajutrz było w całém mieście chleba do sytu. Teraz wysypały się liczne tłumy ludu ku placu Las Mercedes, i głośne okrzyki radości wzniosły się w nieba.

Oddawna nie brzmiały ciemne mury królewskiego pałacu tak weselnémi odgłosy. Po raz pierwszy zwiastowało przybycie króla radośny wypadek miastu, a mieszkańcy sewilscy, ocaleni od głodu, i dumni że pierwszy urzędnik prowincyi z grona ludu wybranym został, wynagrodzili sowicie dzisiejszém uniesieniem wdzięczności, co wczorajszém zimném przyjęciem zawinić przed królem mogli. Okrutny Pedro zdawał się być zmiękczonym, i rozkazał aby koregidor przed nim się stawił. Majstrowi Fraquillo zrobiło się jakoś ciężko na sercu, gdy miał stanąć przed królem, lecz ten przyjął go tak łaskawie, iż szewc znowuż odwagi nabrał.

»Don Fraquillo,« — ozwie się król do niego — »jestem zadowolony z twoich rządów, i radbym ci to nagrodzić. Dopełniłeś przyrzeczenia i uwolniłeś lud od głodu. Jestem ci do wdzięczności obowiązanym.«

»Wasza królewska mości,« — odrzekł szewc z zająknieniem, zdziwiony témi niespodzianémi pochwałami — »czuję się być dostatecznie wynagrodzonym, gdy pomyślę, że moich ziomków od głodu ocaliłem.«

»Nie dość na tém;« — odpowiedział don Pedro — »dałeś mi wczoraj dowód swego rozsądku. Zato ma ten urząd, który ci zrazu tylko na dwadzieścia cztéry godzin poruczyłem, zostać na całe życie przy tobie. Mianuję cię rzeczywistym koregidorem sewilskim.«

»Jakto, wasza królewska mości?..« zawołał Fraquillo odurzony.

»Posłuchaj, jakie ci kładę warunki;« dodał król.

»Słucham, sire;« rzekł szewc, kłaniając się głęboko przed monarchą.

»Życzę sobie, aby wszystkie występki, jakie się tylko w tych stronach zdarzą, jaknajsurowiéj i bez wszelkiéj zwłoki karane były, również prędko, jak owych dwóch skąpców ukarałeś. Musisz wszakże wiedziéć, a przynajmniéj ja to wiém, iż każda bezkarnie puszczona zbrodnia powodem dziesięciu nowych się staje, a zatém senor-koregidorze, pamiętaj, aby ani jedna kary nie uszła. Masz alguazylów bez liku, a jeźli zechcesz, możesz sobie jeszcze drugie tyle ich przyjąć. Ale wyraźnie ci mówię, iż wymagam, aby liczba ukaranych, liczbie występków wyrównywała; ale jeźli tylko jeden występek bezkarnie ujdzie, ty sam własną za to odpowiesz głową.«

Fraquillo otworzył gębę i chciał przemówić, lecz król rozkazał mu milczéć. Tak więc w milczeniu wyszedł z królewskiego pałacu, nie wiedząc czy się ma cieszyć, czy smucić. Przeniesienie się ze swego ubogiego mieszkania szewskiego do pałacu koregidora zdało mu się wprawdzie bardzo przyjemném. Lecz przypomniał sobie słowa królewskie, a te całą chwilową uciechę w niwec mu obróciły; bo jakkolwiek majster Fraquillo wystawność i przepych życia lubił, przecież lubił on jeszcze bardziéj samo, choćby najpokorniejsze życie. Na koniec postanowił prosić króla na piśmie o uwolnienie go od urzędu. Przyniesiono mu natychmiast odpowiedź królewską. Z drzeniem otworzył pismo, i wyczytał co następuje:

»Jeźli nasz nowy koregidor od urzędu uwolnionym być pragnie, tedy jest na to jeden sposób.«

»Dzięki Bogu!« odetchnął majster. »Nie omieszkam ja użyć tego sposobu...« — i zaczął skwapliwie czytać daléj:

»Jeźli jakikolwiek występek się wydarzy, a don Fraqillo natychmiast go nie ukarze, tedy przyrzekam mu niezwłoczne uwolnienie od urzędu, i — szubienicę.«

»Szubienicę!« powtórzył szewc bez duszy. »Otóż to mię tyran nagradza! Ocaliłem miasto od głodu, a on mię chce powiesić; ustępuję dobrowolnie z urzędu, a on mi szubienicę przyrzeka!... Ha, cóż robić! Jeźli nie można miéć głowy bez urzędu, tedy zatrzymam głowę i urząd, a zresztą niechaj święty Franciszek, mój niebieski patron mię strzeże.«

To rzekłszy zwołał natychmiast wszystkich alguazylów miasta do sali swego pałacu, i tak do nich przemówił:

»Moi mili przyjaciele, podobało się najmiłościwszemu królowi okazać mi swoję wdzięczność, i wynagrodzić mię za moje dobre chęci dla miasta. Dopomogliście mi w tém wiernie, jak to sam wyznać muszę, a zatém godzi się, abym także i w łaskach, jakiemi jego królewska mość uszczęśliwić mię raczył, udziału wam dozwolił.«

»*Viva el rè!*« wrzasnęli w głos siepacze.

»Tak jest — *viva el rè!*« z godnością odrzekł Fraquillo spokojnie.—»gdyż jego królewska mość mianował mię koregidorem na całe życie, przeco moje uwolnienie od służby, tylko w godzinie śmierci, lub co tożsamo znaczy, śmierć moja w godzinie uwolnienia nastąpi.

»Piérwszy dowód łaski królewskiéj:

»Mianuję was wszystkich alguazylami na całe życie, a ten, komu się to nie podoba, niech tylko powie, a może natychmiast być powieszonym, przeco zostanie wolnym od służby. No, moi przyjaciele, wołajcież: *Viva el rè!*«

Alguazylowie pogłupieli i słuchali w milczeniu.

»Jakto, nic nie odpowiadacie? Ha, jak się wam podoba; różne są zdania na świecie; byleście tylko, chętnie albo niechętnie, obowiązek wasz wypełniali, to wszystko, czego od was wymagam.«

»Teraz drugi dowód łaski królewskiéj:

»Przypuśćcie, że dziś np. dziesięć zbrodni w Sewilli popełniono, (o liczbę tu nie idzie, a zatém dajmy nato, iż dziesięć zbrodni) — owoż musicie tegoż samego wieczora dziesięć winowajców do więzienia przystawić; gdyby jednego lub dwóch łotrów nie stało, tedy ułatwiliby-

ście to po przyjacielsku pomiędzy sobą, ciągnąc losy, na którego z was padnie dopełnić liczby niestającéj.«

Te okropne acz łagodnie wymówione słowa wywołały półgłośne, truchliwe szemranie pomiędzy alguazylami.

»Ani słówka, moi kochani;« — rzekł Fraquillo — »inaczéj, zacznę od tego, że was, aby porządek utrzymać, wszystkich wywieszać każę. Pamiętajcie, iżto nie dla mojéj zabawki takie na was kładę warunki, lecz że jestem koregidorem od niechcenia. W razie gdyby który z was był tak nierozsądnym, iżby dał umknąć winowajcy, tedy król zato szubienicę mi przyrzekł, a ponieważ wamto jedynie miałbym tę przyjemność podziękować, tedy jestem zanadto dobrodusznym, abym jéj podzielić z wami nie chciał. Idźcież sobie więc z Bogiem, pilnujcie służby, zacni uczesnicy mojego wielkiego urzędu, a nie zapominajcie o placu Las Mercedes.«

Alguazylowie wyszli na pół nieżywi, lecz nie pisnąwszy i słowa, ile że myśl o szubienicy, szczelnie im usta zamknęła. Rozbiegli się trwożnie milczkiem po mieście, rozwarłszy na oścież oczy i uszy, i niewymowną gorliwością utrzymania porządku ożywieni. Nie wyszło kilka godzin, a już z téj wielkiéj gorliwości powieszono dwóch żebraków, którzy po bochenku chleba z piekarskiego sklepu ukradli. Nazajutrz był największy porządek w mieście, kat nie wiedział gdzie miał ręce, a alguazylowie zwijali się jak na młynku. Don Pedro winszował swemu nowemu koregidorowi, a ten winszował wzajem swoim siepaczom.

»Dobrze się nam wiedzie, moje dzieci;« — rzekł do nich szewc-koregidor — »tylko się tak wciąż sprawujcie; król jegomość jest kontent ze mnie, ja jestem kontent z was, lud musi być także kontent, a nawet ci, których powieszono, nic przeciw temu nie mają.«

Ale gdy noc nadeszła, a don Fraquillo do swojéj pysznéj sypialni na spoczynek się udał, i znużony pracą oczy chciał zamknąć, natenczas budził się w nim głos sumienia i jawiły mu się mary jego zamordowanych ofiar, otaczały łoże jego, drzeźniły mu się ze ścian, ze stropu, wytrzészczały nań ślepia, szczérzyły mściwe zęby. — Biedaczysko zmizerniał, policzki mu zapadły, czoło poorało się zmarszczkami, trawiący smutek pochylił go ku ziemi; już ani dawni przyjaciele poznać go nie mogli, ani on sam się nie poznawał — strach było patrzéć.

Wszakże najtrudniejszy początek. Po dwóch tygodniach urzędowania, uspokoiło się zgryźliwe sumienie, a obowiązek, wszystko zresztą przygłuszył. To wściekłe prześladowanie istotnych lub mniemanych złoczyńców, ta walka na zabój, jaką on teraz wszelkim zbrodniarzom wypowiedział, zdawały mu się wkrótce ścisłém bronieniem ustaw, a każdy popełniony występek, równał się zamachowi na jego własne życie. Ciągłe niebezpieczeństwo, w jakiém każdéj chwili zostawał, utrzymowało jego ducha w nieustannem wzburzeniu. Każda nowa zbrodnia była dlań grą hazardową, w któréj wszystko mógł stracić; zawsze tam ktoś głową nałożyć musiał: on sam, lub winowajca. Wreszcie tak gorliwe wyrządzanie sprawiedliwości skutkowało zbawiennie na moralność publiczną. Trzy dni raz po raz przystępował don Pedro wieczorem, kiedy zwykle winowajców tracono, do okna w swoim pałacu, wychodzącego na plac tracenia, a szubienica stała wciąż próżna. Poczém gdy się ściemniło, zarzucił płaszcz na siebie, i wyszedł potajemnie z pałacu, chcąc się przekonać, czy jego rozkazy ściśle wykonywane bywają. Minąwszy kilka pustych i ciemych ulic, postrzegł z upodobaniem grobowy spokój, jaki w całém mieście panował, i poznał niezmordowaną baczność alguazylów, którzy po wszystkich kątach zbrodniarzów wietrzyli.

Zégar na wieży Giralda uderzył właśnie jedynastą. Ciemne chmury rozpościérając czarną ponad miastem zasłonę, przesuwały się w powietrzu, przyjaźne złodziejom i kochankom, którzy jedni i drudzy w ciemnościach się kochają. W jednéj z wązkich ulic przedmieścia Santa Maria, dojrzał król o dwadzieścia kilka kroków od siebie, u niewysokiego bal-

konu, jakiegoś młodego mężczyznę, rozmawiającego z dziewczyną na balkonie. Oczywiście byłato schadzka miłośna, a w kochanku poznał król Pedro samegoż don Herrerę, poprzednika naszego szewca, którego don Bringos, ojciec panienki na balkonie, niegrzecznie w dzień złożenia z urzędu z koszem odprawił, a który teraz słusznie u córki pociechy szukał.

Don Pedro znał bardzo dobrze przepisy przyzwoitości hiszpańskiej, które w tym względzie nakazywały odwrócić się w inną stronę, nie oglądając się poza siebie; byłto święcie zachowywany zwyczaj, którego naruszenie natychmiast porwanie się do oręża wywoływało. Mimo to jednak, szedł król śmiało w tę stronę, gdzie był balkon, i zbliżył się już do kokochanka. Don Herrera wezwał go naprzód grzecznie, aby się wrócił, a widząc że nieznajomy na to nie zważa, dobył oręża, i zastąpił mu drogę. Don Pedro nie dał się poznać, lecz dobył także broni, i wszczęła się zacięta walka. Po niewielu uderzeniach padł Herrera śmiertelnie ugodzony, a królewski jego morderca umknął boczną ulicą i wrócił cichaczem do pałacu.

Głośny krzyk donny Izabelli sprowadził wszystkich sąsiadów do okien, wnet nadlecieli także alguazylowie, i znaleziono trupa. Lecz zabójca uszedł bez śladu. Na siepaczach skóra zadrzała!

Nazajutrz po spełnioném zabójstwie, udał się Pedro Okrutny do pałacu koregidora. Fraquillo nie wiedział jeszcze, co się w nocy zdarzyło, a uprzejmy wyraz twarzy królewskiéj napawał go rozkoszą.

»Fraquillo,« — rzecze monarcha, uderzając go poufale po ramieniu — »czyli raczéj *don* Fraquillo, mój mądry koregidorze, zobowiązałeś mię wielce swoją wzorową gorliwością. Dzięki terazniejszemu szybkiemu wykonywaniu sprawiedliwości, nie słychać już o żadnéj zbrodni, a w całéj Sewilli panuje porządek i bezpieczeństwo. Widzę istotnie, iż jesteś mędrszym od swego poprzednika.«

»Sire,« — odpowiedział szewc skromnie — »to ztąd pochodzi, że ja sam pomiędzy ludem wzrosłem, i znam się na jego sprawkach.«

»Przekonuję się o tém,« — rzecze król daléj — »i powinienem się był już dawniéj o tém przekonać. Jesteś zdatnym i zasłużonym urzędnikiem, a jako dałem ci słowo, że przy piérwszém niedopełnieniu obowiązku, wisiéć będziesz — (szewc się wzdrygnął) — tak teraz chcę cię również sprawiedliwie za twoją niezmordowaną czynność wynagrodzić.«

Szewc ochłonął nieco z przestrachu.

»No, i cóż?« ozwie się Pedro do niego. »Cóż sobie życzysz? Chcesz tytułu hrabiowskiego, lub wolisz może ostrogi rycérskie?«

»Dzięki ci królu!« odpowiedział Fraquillo z pokorą, wahając się między drażliwością chwały a skromnością, i lękając się niestosowny wybór uczynić. »Ostrogi, na niby mi się nie zdały, gdyż nigdy jeszcze na koniu nie siedziałem; co zaś do tytułu hrabiowskiego, ten, nie od rzeczy, nie byłbym mu przeciwnym, lecz sądzę, że pokrywka na próżnym garnku — na nic się nie zda.«

»Dobrze mówisz, Fraquillo! Lecz nim pokrywkę założymy, postaramy się aby czémś garnek napełnić. Jakże, co wolisz, pieniądze czy zamek w Estremadurze?«

»Ha, zamek jestto rzecz piękna, ale zkądżeby mnie na utrzymanie zamku stało? O jedno zaś i o drugie zarazem prosić — nie mam tyle śmiałości do waszéj król. mości.«

Tu dał się słyszéć jakiś tupot i hałas za drzwiami. Ledwie król nato uwagę zwrócił, wleciała młoda, piękna dziewczyna do pokoju i rzuciła się do nóg królowi.

»Czegoż żądasz, sennora?« zapyta okrótny Pedro łaskawie.

»Wasza król. mości!« zawołała dziewica ze łzami. »Nazywam się Izabella i jestem córką najbogatszego kupca w Sewilli; błagam cię o sprawiedliwość w imieniu nieszczęśliwego, który wczoraj pod mojémi oknami z ręki nieznajomego zabójcy zginął.«

»Któż był zabity? Zapewne krewny?«

»Nie, sire,« odpowie Izabella nieśmiało — »miałam wkrótce zostać jego małżonką.«

„Jakże on się nazywał?"

„Don Herrera."

„Mój poprzednik!" wykrzyknął Fraquillo.

»Cóż to, senor — koregidorze!" rzekł król surowo, zwracając się do szewca. „Popełniono zabójstwo, a ty nic nie wiesz o tem?"

»Ach, wasza król. mości," — zająknął się Fraquillo — »nie pojmuję — być nie może — moi alguazylowie..."

»Jak widzę, to zawcześnie cię pochwaliłem;" — ozwał się król ponuro — „i schwytanoż zabójcę?"

»Ach nie, sire;" — odpowiedziała piękna córka starego skąpca — „niestety uciekł! I przyszłam właśnie prosić cię o to, abyś policyi baczniejsze oko mieć kazał."

»Toby znaczyło, senora, iż wątpisz o mojéj sprawiedliwości i że dopiéro dwojga pięknych, płaczących oczu potrzeba, aby mię do ukarania zbrodni nakłonić? Wszakże twój żal głęboki dostatecznie cię z tego tłumaczy, i nie mając przeto żadnéj do ciebie urazy, przyrzekam ci śpieszną zemstę.

Donna Izabella skłoniła się i chciała odejść.

»Zaczekaj senora;" — zatrzymał ją don Pedro — „przekonaj się na własne oczy, jak u nas sprawiedliwość surowo się wykonywa."

To rzekłszy zwrócił się do Fraquilla, który w śmiertelnéj trwodze, jak trup blady, z osłupiałémi oczyma, pochylony z rozpaczy, przeklinał w duchu swoje nieszczęsne dostojeństwo, i utęskniał znowu do szczupłéj pracowni pod katedrą, i do szewskiego pocięgla — on, który przed chwilą skarby i zamki miał do wyboru.

»Senor-koregidorze," — rzekł król, prowadząc go do okna, które na plac Mercedes wychodziło — »co ci ludzie tam robią?"

»Wasza królewska mości." — odpowiedział szewc zcicha — »jestto kat z oprawcami, i zdejmują szubienicę, któréj już od trzech dni nie używano..."

„W sam czas się wybrali, zdejmować teraz szubienice, mości koregidorze!" rzekł król z gorzką ironiją. „Krzyknij na nich, aby ją znowu, gdzie była, postawili."

„Sire," — wyjęknął ledwie zrozumiale szewc drżący — »zejdę na dół i dam im stosowny rozkaz."

»Na cóż masz się trudzić, możesz ztąd krzyknąć, jeżli masz głos dość silny. No, czegoż czekasz?.."

»Przebaczenia, wasza królewska mości, lecz wewnętrzne wzruszenie nie dozwala mi mieć tyle głosu, aż tam do szubienicy."

„Rozkazuję ci, abyś miał tyle głosu!" krzyknął don Pedro.

Fraquillo wychylił się przez okno, i zebrawszy wszystkie siły, wydławił niezrozumiale następne słowa: „Mistrzu! Mistrzn Tio Palco! Wystaw — nanowo szubienicę. Jestto z rozkazu króla..."

»Koregidora sewilskiego;" poszepnął mu król okrutny.

„Koregidora sewilskiego!" powtórzył Fraquillo.

„I miejcie się na pogotowiu," — podpowiadał król daléj — „gdyż nazajutrz wieczorem, około szóstéj godziny, będziecie tam wieszali zabójcę don Herrery."

„Don Herrery!" powtórzył Fraquillo, ile mu głosu stało.

„Albo niedbałego koregidora, który leniwie się wysypia, zamiast czuwać nad bezpieczeństwem miasta, i zapobiegać zbrodniom."

Fraquillo nie był w stanie domówić tych słów ostatnich, kolana pod nim zadrzały, i szepcąc ledwie dosłyszalnym głosem: „Łaski, senor don Pedro, łaski!" padł wpółmartwy na ziemię.

Król skinął na donnę Izabellę, że może odejść, potém otworzył drzwi prowadzące do pokojów królewskich, stanął chwilę na progu, i zwróciwszy się jeszcze raz z szatańsko-ironicznem spojrzeniem ku szewcowi, rzekł:

»I cóż panie majstrze Fraquillo, wy przemądry szewcze z przedmieścia San Antonio, który się masz za rozumniejszego niż my wszyscy panowie i królowie, rządzący państwami i miastami; pokaż teraz jak daleko twój rozum sięga, lecz pomnij, jaka między nami umowa. Do jutra!"

„Do jutra, sire!" odrzekł mocnym głosem Fraquillo, zrywając się śmiało z ziemi.

Dwoje drzwi zamknęły się zarazem, jedne za królem, drugie za szewcem, który szybko po marmurowych schodach pałacu zbiegłszy, poleciał jakby wichrem gnany, na przedmieście Santa Maria, gdzie nasz stary skąpiec don Bringos mieszkał.

(Dokończenie nastąpi.)

Walka bokserów w północnéj Ameryce.

W grudniu roku zeszłego przedstawiło dwóch bokserów w pobliżu Nowego Jorku publiczne widowisko walki na pięstuki, w której jeden z przeciwników, Mac-Coy, po trzechgodzinnych zapasach uległ i wkrótce ducha wyzionął. Wszyscy uczesnicy téj walki zostali przed sąd przysięgłych zapozwani. Po kilkudniowem badaniu, uznano obżałowanych winnymi zbrodni zabójstwa w czwartym stopniu, to jest, zabójstwa popełnionego przez nieostrożność, z naruszeniem przepisów względem publicznego bezpieczeństwa. Na mocy tego wyroku popadli główni uczesnicy w karę kilkuletniego więzienia i znacznych opłat pieniężnych. Wyznanie świadka Kaspra Golden, jednego z publicznych urzędników okręgu, charakteryzuje dokładnie postępowanie bokserów, jakotéż całą scenę, przeco dosłownie je przytaczamy:

»Rano o dziewiątej godzinie dowiedziałem się, iż w Hastings ma się odbyć walka na pięści, i udałem się natychmiast na miejsce aby temuż przeszkodzić. Wziąłem z sobą Dykemana i dwunastu ludzi ku pomocy. Miejscem walki była niewielka łąka nad brzegami Hudsonu, o angielską milę od wsi Hastings. Przybywszy tamże o jedynastej godzinie, zastaliśmy już blisko ośmset osób zgromadzonych. Właściwe pobojowisko, zajmujące ośmdziesiąt stóp kwadratowych, było rozpiętemi na palach sznurami otoczone. O trzydzieści stóp od tegoż znajdowała się inna, zewnętrzna przegroda. Wezwałem kilku obywateli, aby mi swoim wpływem do przeszkodzenia zamierzonéj walce dopomogli. Lecz oni odmówili wszelkiéj pomocy, przeco musiałem sam, o ile to w mojéj mocy było, obowiązku dopełnić. Przystąpiłem do jednego z wymienionych mi uczesników zapowiedzianéj walki, imieniem Sullivan, i spytałem go, czy on tak się nazywa? On jednak odwrócił się ode mnie, odpowiadając, iż nie ma czasu ze mną rozmawiać. Oznajmiłem mu tedy mój urząd, i oświadczyłem, iż chce wejść do środka wytkniętego pobojowiska, jeżli to niebezpieczeństwem życia nie grozi. Nato odrzekł Sullivan, iż nie myśli, aby w tem jakie niebezpieczeństwo było, a zresztą, mogę czynić co mi się podoba. Tymczasem weszli bokserowie z towarzyszami na plac boju. Po jednéj stronie stali Sullivan, Mac-Cleester, Lilly i Ford z kilką innémi osobami; po drugiéj Mac-Coy i jego dwaj świadkowie, Jakób Sanford i Henryk Shanfroid. Oprócz tego znajdowało się jeszcze kilku ludzi z kijami, mający przestrzegać porządku i spokojności. Widzowie stali lub poczęści siedzieli. Zwróciłem się do Sullivana, Mac-Cleester i Lilly, będącego głównym przeciwnikiem Mac-Coy'a, zapowiadając im w imieniu ludu i rządu Nowego Jorku, aby zaniechali przedsięwzięcia i odeszli natychmiast z miejsca. Ledwie to wymówiłem, powstał ogromny hałas, jak się zdaje dla przytłumienia mojego głosu, i przerwania mi dalszéj mowy. Wtém zbliżyło się kilka osób z przeciwnéj strony, mówiąc, iż najlepiéj uczynię, gdy się oddalę, i że oni całą odpowiedzialność na siebie biorą. Ztémwszystkiém powtórzyłem jeszcze raz moje poprzednie napomnienie, i wezwałem ich nanowo w imieniu prawa, do ustąpienia z miejsca. Nato wszczął się jeszcze straszliwszy hałas, a niejaki Simon Sanford z Greenburgh wołał na mnie, abym coprędzéj uchodził, gdyż jestem w niebezpieczeństwie. Jakoż krzyczano istotnie w tłumie: „Wyrzucić go! Dajcie mu kilka szturkańców!” Widząc tedy iż nic poradzić nie zdołam, a przekonany, że święcie obowiązku mego dopełniłem, wyszedłem z panem Sanford, i stanąłem sobie na boku, zkąd wszystko widzieć mogłem. Uczyniłem to zaś jedynie dlatego, aby późniéj winnych przed sądem wymienić. Obaj przeciwnicy byli aż po biodra obnażeni. Sekundanci Sanford, Shanfroid, Mac-Cleester, Ford, Sullivan i inni byli tylko w koszulach. Po obu bokach pobojowiska znajdowało się kilka osób, które to jednemu to drugiemu przeciwnikowi zachęty okrzykami dodawali. Cała walka trwała dwie albo trzy godziny.” — Następnie opisywał świadek w technicznych wyrazach wszystkie razy i pchnięcia, które sobie obaj przeciwnicy sowicie wymierzali. Kilkakrotnie ujęli się byli za pasy i namocowawszy się, powalili się obaj na ziemię. Za każdém takiém powaleniem zaprzestawano walki. Sekundanci podnosili zapaśników, i odprowadziwszy ich w przeciwne końce pobojowiska, sadzali ich tam sobie na kolana, ocierali im pot i krew z ciała, i dawali im pić z butelek. Nasz świadek mniema, iż przynajmniéj 126 razy wzajemnie na siebie uderzono, i tyleż sobie razów zadano. Między każdém uderzeniem upłynęło może pół minuty. Na słowo »*Time!*» (Czas!) wstawali przeciwnicy i szli na środek pobojowiska, gdzie walka nanowo się zaczynała. Po ostatniém uderzeniu poskoczył Lilly w górę, dając tém do poznania, iż otrzymał zwycięztwo, i wkrótce téż zaczęto wołać! »Lilly zwyciężył! Mac-Coy już omdlał! Mac-Coy pobity! *(Is licked)* Lilly przystąpił do leżącego na ziemi Mac-Coy'a, uścisnął go za rękę, i odszedł wsparty na ramieniu Mac-Cleestra. Będąc już poza obrębem pobojowiska, otarł mu Sullivan twarz i ciało, i skropił go zimną wodą, a tymczasem wzięli inni Mac-Coy'a i zanieśli go do rzeki. — „Słysząc co wokoło mnie powiadano,” — dodaje nasz świadek — »myślałem, że Mac-Coy już nie żyje. Lecz natłok był tak wielki, iż widzieć go nie mogłem. Zebrało się tam powoli przeszło 2000 ludzi.” — Wyznanie redaktora gazety nowojorskiéj, Enocha Camp, zgadzało się prawie we wszystkiém z powyższém opowiadaniem. Atoli ten drugi świadek uważał bliżéj wszystkie szczegóły, i opisywał mianowicie stan Mac-Coy'a pod koniec walki w prawdziwie przerażający sposób. „Zacząwszy od 119slego natarcia aż do końca, upadał Mac-Coy prawie pod każdém uderzeniem; nie uważałem jednak,” — mówi redaktor Camp — „aby Lilly przeciwnika swego kolanem w niższą część ciała kopał, coby przeciw przepisom bokserskim wykraczało. Obaj przeciwnicy mocowali się wszelkiémi, na jakie się tylko zdobyć mogli, siłami. Po skończonéj walce był Mac-Coy cały na miazgę zbity. Wszakże bronił on się zacięcie aż do końca; dopiero dwa ostatnie natarcia dobiły go zupełnie. Z całéj lewéj strony twarzy i z szyi była skóra od ciągłych razów ze szczętem zdarta. Osada lewego oka opuchła do tego stopnia, iż całe oko zakryte zostało i nic widzieć nie mogło. Tożsamo i prawe oko było w części zamknięte. Podobnież i piersi obrzmiały od niezliczonych ude-

rzeń. W czasie walki lała mu się krew wnet z nosa, wnet z ust, i to wkrótce po rozpoczęciu boju. Przecież w ciągu całego piérwszego kwadransa nie został żaden z przeciwników skaleczonym. Aż wreszcie zadał Lilly swemu nieprzyjacielowi mocny cios pięścią w ucho, zkąd natychmiast krew się puściła, na co świadkowie zawołali: »Oto piérwsza krew za Lillym! Po półgodzinie zgruchotał Lilly przeciwnikowi chrząstkę w nosie i odtąd uderzał wciąż to w nos, to w lewą stronę twarzy. W połowie walki zakładano się powszechnie na Mac-Coy'a, ponieważ zdawał się być bardziéj na bole wytrzymałym, chociaż nie tyle zręcznym (*scientific*) jak jego rywal. Lecz przy 80tém natarciu zmieniła się postać rzeczy. Mając nos zgruchotany, i będąc wpółociemniałym nie mógł się już ani dobrze bronić, ani dzielnie naciérać. Między 90tém a 100ném natarciem zamknęły mu się już obie oczy, tak iż sobie palcami powieki podnosić musiał, aby tylko cokolwiek widzieć. W pięć minut po zaniesieniu go do rzéki, już nie żył.« — Wysłuchawszy obrony rzeczników, wydali przysięgli wyrok, skazujący obżałowanych za dobrowolne, bez chęci odebrania życia, popełnione zabójstwo w czwartym stopniu, na wyż wymienione kary: mianowicie Sullivana na dwuletnie więzienie, Mac-Cleester na roczne więzienie i 500 talarów (4000 zł. p.), wreszcie niejakiego Kensett na 4miesięczne więzienie i 200 tąlarów. — Lilly został do innego sądu odesłanym.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 48my i zawiéra: 1) Zdanie pana Ferdynanda Stiebera o systemie rolniczym pana Hoeblinga, opisanym w nrze 35tym Tygodnika rol. przem. z r. 1844. 2) O poprawieniu płgów. 3) Jeszcze niektóre myśli o zapobieżeniu głodowi. 4) O wystawie płodów przemysłowości w Wiédniu; przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 5) O konsumcyi chleba, mięsa i soli w różnych krajach Europy. 6) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 25ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) Jakób Eltester. Sprawa kryminalna z roku 1811. 2) Czem nie marzyć? Wiérsz przez Zygmunta Kaczkowskiego. 3) Uwagi nad moralnemi chorobami, przez Zygmunta Kaczkowskiego. (Dokończenie.) 4) Nowości literackie. 5) Uwiadomienie redakcyi.

Mahometanie polscy. Uczony Adryjan Krzyżanowski umieścił w tegorocznym warszawskim »kalendarzu powszechnym« ciekawą rozprawę o rachubie czasu u Arabów i Turków. Rzecz tę zakończył zajmującą wiadomością historyczną o Tatarach, osiedlonych od 14go wieku w Polsce, a których potomkowie dziś jeszcze islamizm wyznający, zamieszkują osady w gub. Augustowskiej i Podlaskiej. Augustowscy polscy Tatarowie wyznania mahometańskiego mają swój meczet we wsi Winksznupie, która w r. 1839 liczyła ludności rolniczej 104 osób, a w tej 8 familij wyznania mahometańskiego. Imanem czyli Maumem, czyli Małną tej gminy mahometankiej był od r. 1824 do 1829 Mustafa kniaź Bozarewski. Po zmarłym nastąpił r. 1829 Abraham Januszewski. Podlascy nasi Tatarzynowie mają swój meczet w powiecie Bialskim, we wsi Studzianka, która r. 1829 miała ludności 333 osób, a w tej 51 wyznania mahometańskiego. Tu do r. 1826 był Maumem gminy mahometańskiej Mustafa Bielak; po nim Maciej Okniński. Roku 1843 gub. Augustowska miała ludności tatarsko-mahometańskiej osób płci męzkiej 82, żeńskiej 87, razem 169; Podlaska płci męzkiej 53, żeńskiej 71, razem 124. W poprzednich latach byli Tatarzynowie w gub. Płockiej, Mazowieckiej i Sandomirskiej. Z odznaczających się rodzin polskich, wyznania mahometańskiego wymienione są rodziny Bozarewskich i Sobolewskich na Litwie, Buczackich, Koryckich, Bielaków, Baranowskich, Januszewskich, Józefowiczów na Podlasiu, Wołyniu i Ukrainie. Okrasą, wyobrazioielem i patryjarchą od r. 1780, ludności tatarskiej wyznania mahometańskiego w Polsce był Jakób Buczacki, dziedzic dóbr Małaszewice i Lebiedziów w pow. Bialskim, urodzony r. 1745, za panowania Augusta III. Służył za młodu w wojsku. Przez lat 50 był sędzią pokoju powiatu Bialskiego, a w roku 1818 posłem Bialskim na sejm. Umarł w r. 1835, przeżywszy lat 90.

Spółczesne wystąpienie słońca i 7 planet na widokręgu. Od 1. listopada bawią wszystkie planety naszego systemu słonecznego jednocześnie przez 1 — 3 godzin na niebie, i będą się tak jeszcze przez 5 — 6 tygodni okazywały. Wschodzą one w następującym porządku: słońce około 7 godziny, Merkury o 45 minut późniéj, Wenus około 11 godz., Saturn o wpół do 2 po południu, księżyc o 25 minut późniéj, Mars o kwadrans na 3cią, Uranus po 3ciej, a Jowisz dopiéro przed 4tą. Około 5 godziny po zachodzie słońca, gdy Merkury z widokręgu już zniknął, można widzieć gołem okiem: Wenus ku zachodowi o 25 stopni nad widokręgiem, Jowisza ku wschodowi o 15 stopni, księżyc w pobliżu południka, tamże i Marsa, — nieco niżej o 23 stopni od Marsa, Saturna, a między Jowiszem i księżycem Uranusa.

Grobowiec Börne'go na cmentarzu *Père-Lachaise*, jakkolwiek skromny i pojedyńczy, należy do najpiękniejszych pomników cmentarza. Z wiérzchu grobowca spoziéra trafnie w bronzie udane oblicze zmarłego, ocienione nieustannie świeżym wieńcem dębowym, który w około czoła się wije. U spodu pomnika widać płaskorzeźbę przedstawiającą Niemcy i Francyję, połączone za pośrednictwem trzeciej osoby, która oba narody za ręce trzyma. Po lewej stronie znajdują się imiona: Voltaire, Rousseau, Lamennais, Berenger, po prawej: Lessing, Schiller, Herder, Jean Paul.

Skamieniały las nad Nilem. Niemasz zapewne na całym świecie osobliwszego w malowniczym i geologicznym względzie widoku, nad ten, jaki nam dość rozległy, w pobliżu Kairu leżący skamieniały las przedstawia. Minąwszy groby kalifów około tegoż miasta, jedzie się ku południowi pustą, dwumilową doliną, okrytą piaskiem, krzemionką i muszlami morskiemi, a przeciętą w końcu pasmem piaszczystych wzgórzów. Widok, jaki się poza temi wzgórzami otwiera, jest nad wszelkie wyobrażenie dziwaczny i jałowy. Jak daleko wzrok sięga, to jest na kilkumilowej przestrzeni, rozléga się nieprzejrzana masa skamieniałych, a pod kopytem końskiem jak żelazo podzwaniających złomów drzewnych, któreby za szczątki ogromnego, burzą obalonego lasu wziąć można. Złomy te mają 1 do 15 stóp długości, a pół do 3 stóp przecięcia; są wszystkie ciemnobrunatnej farby i zachowały zupełnie kształt drzewa, a leżą tak gęsto, że obładowany muł egipski z trudnością pomiędzy nie stąpać może. Korzenie i pnie bywają czasem w najzupełniejszej całości, a gdzieniegdzie zdarza się nawet wytoczone przez robaki dziurki pod korą dostrzedz. Najdelikatniejsze naczynia soków i wszelkie szlachetniejsze

cząstki wewnątrz drzewa są wcale nienaruszone i mogą być przez najostrzejsze skła powiększające uważane. Wszystkie te złomy zamieniły się całkiem w krzemień, tak iż skło rysują i najswietniejszą polituré przybierają.

Młody malarz Isola, jeden z piérwszych artystów genueńskich, jest jak każdy jenijalny człowiek, wielbicielem wolności, a ztąd piérwszym jego historycznym obrazem, który mu naraz europejską sławę zjednał, było przedstawienie walki Genuy o niepodległość. Obraz ten obudził niesłychane wrażenie w Genui, gdzie dawne żywioły republikańskie, zawsze jeszcze jak iskry w zarzewiu drzemą. Wszyscy uwielbiali to dzieło, lecz malarz nie chciał się z niém rozłączyć, i przechowywał je u siebie. Jednego razu, gdy właśnie przed niém siedział, i rozmyślał, coby się jeszcze poprawić dało, otwierają się drzwi nagle, i wchodzi dwóch żandarmów. Nic mówiąc ani słowa, biorą obraz, wynoszą go, a za nim wiodą i malarza, aby szedł się tłumaczyć ze swojéj zbrodni: iż śmiał przedstawiać rodzinne miasto w walce o jego odwieczne prawa. Obraz zamknięto w rządowym budynku, gdzie aż do dziś pozostaje, a biednego Isolę zawlekli dwaj żandarmowie o 120 angielskich mil, do Turynu, aby go tam do więzienia wtrącić. Po dość długiej niewoli, został Isola nareszcie wypuszczonym, lecz obraz jego jest dotąd pod zamknięciem. Dopiero w ostatnich czasach wydał spaniałomyślny rząd pozwolenie, aby ten obraz mógł byc sprzedanym komuś, coby go natychmiast za granicę wywiózł.

Wyzwanie angielskiego klubu szachowego przez klub francuzki. Oddawna już powziął tak zwany św. Jerzego klub szachistów w Londynie, postanowienie niegrywania więcej jako klub żadnéj partyi z kimkolwiek; lecz oto przed kilką tygodniami wyzwał go niejaki p. Klęszyck, Polak, jeden z najdzielniejszych graczów francuzkiego klubu w *„cafe de la Regence“* w imieniu swego klubu, do dwóch partyi szachowych, które mają byc grane listownie, a zyskać zwycięzcom nagrodę 1500 franków. Klub francuzki wydał już dla zebrania téj sumy 50 ackyj po 30 fr., które pomiędzy piérwszych dyletantów zgromadzenia, a między tymi parow, deputowanych, oficerów sztabowych, i uczonych, rozebrane zostały. Dziennik londyński *„Bell' Life“* w którym to wyzwanie ogłoszono, zaklina klub św. Jerzego na wszystko, aby dla ocalenia swego zagrożonego honoru, wystąpił gracko do boju.

Prośba o odrobinę ojczyzny. „Gazeta Bremska“ opisuje historyję pewnego handlującego Żyda, który po spokojnem kilkuletniem zamieszkaniu w Hanowerze, gdzie się ożenił, i troje dzieci — najmłodsze ma trzy miesiące — spłodził, nagle za drobną, ani dowiedzioną, ani wyznaną kradzież, o którą go posądzono, z kraju wygnanym został, a to dla tego, że nie wiedział biedak gdzie się rodził. Żadne prośby, żadne świadectwa, najdokładniejszy paszport, nic nie pomogły; wygnano go wraz z żoną i dziećmi za granicę, do Oldenburga. Lecz księstwo Oldenburskie odesłało go nazad szupasem do Hannowera. Przegnano go więc przez inną granicę do Prus, ależ i Prusy zawróciły go nazad, z odpowiedzią, iż nie przyjmują takich nieproszonych gości. Biedny wygnaniec przepędzany z miejsca na miejsce, udał się w okropnej rozpaczy do zgromadzenia związku niemieckiego, prosząc o jaką stopę ziemi, gdzieby z dziećmi i z żoną, jako człowiek stanąć, odetchnąć, żyć, pracować, i Boga chwalić mógł!

Siedmnasta litera w abecadle. Nieraz najprościejsze pytanie kłopotu nabawić może, jak to z następnego przykładu się okazuje. Jednego razu przeglądał pewien jenerał swój pułk; a byłto stary gderacz, który swoich oficerów co chwila niespodzianémi rozkazy trapić lubił. Owoż w dzień przeglądu zażądał od oficera piérwszego batalijonu, aby wszystkich swoich żołnierzy w głos po imieniu wywołał. Oficer sięgnął do kieszeni po rejestr, lecz jenerał przejął mu: „Wiem ja dobrze, że pan porucznik czytać umié; należy jednak znać wszystkich swoich ludzi po imieniu, i być w stanie z pamięci ich wywołać“ Gdy oficer wyznał, iż pamięć jego tak daleko nie sięga, wymruknął jeszcze burę porucznikowi, i pojechał dalej. Przy drugim plutonie ten sam rozkaz i ta sama odpowiedź — a w końcu taż sama bura. Tymczasem gruchnęła ta nieprzyjemna wiadomość od plutonu do plutonu, i wszyscy uskarżali się na zbytnią surowość jenerała. Jeden z podporuczników ostatnich plutonów, zagrożony równém niebezpieczeństwem, zwrócił się do swoich żołnierzy i rzekł: „Moi przyjaciele! Wiecie jak się z wami obchodzę, i że was z duszy kocham; lecz chociaż w mojém sercu każdy z was wyraźnie jest zapisany, moja pamięć jednakże nie może was wszystkich zmieścić, a zatém zróbcie, co wam tu powiém, jeżeli chcecie, abyśmy nadal w przyjaźni z sobą żyli. Gdy na nas kolej przyjdzie, będę was po imieniu wywoływał, a wy wszyscy odpowiadajcie „Jestem“, jeden po drugim, zacząwszy od prawéj ręki, i nie zważając wcale, jakie ja nazwisko wymieniać będę. Przystajecie? Dobrze! Więc baczność! Otoż i on.“ Jenerał był coraz bardziéj rozgniewany.—„Wywołaj pan swoich ludzi“ ozwał się do podporucznika. „Natychmiast, mój jenerale“ odpowiedział młody oficer i zaczął: „Dubois!“ — „Jestem.“ „Nicolas!“ — „Jestem.“ — „Boulanger!“ — „Jestem.“ — i tak daléj, aż do ostatniego żołnierza. — *„Bravo!“* zawołał jenerał —„ wpan jesteś jedynym oficerem w całym pułku, który zna swych żołnierzy. Zanotuję go sobie do awansu.“ — Po skończonym przeglądzie wezwał jenerał wszystkich oficerów do siebie, i powtórzył im jeszcze raz swoje nieukontentowanie, nazywając owego podporucznika jedynym oficerem, który swego obowiązku pilnuje. Lecz ta niezasłużona pochwała zaczęła go niepokoić! Przedstawił się więc jenerałowi, i wyznał mu całe zdarzenie.— „To przynajmniéj dowodzi, iż wpan masz przytomność;“ odrzekł jenerał. — „Przy największéj przytomności umysłu, łatwo jest niespodzianem pytaniem zmieszać“— ozwał się podporucznik — „oto widzę tam najbieglejszego w mustrze podoficera, a niech go jenerał raczy spytać o cos znienacka; obaczymy czy się nie zmiesza.“— Przywołano podoficera. „Szóste *tempo*?“ zapytał jenerał. — „Szóste *tempo*—“ powtórzył z zająknieniem podoficer „Formuj się!..“ — „Tak, zapewne, zacząwszy od piérwszego, staniem kiedyś na szóstem.“ — „Mój jenerale“ odrzeknie zawstydzony podoficer „jenerał jesteś pewny swej rzeczy; chciéjże mi z łaski swojéj powiedzieć, jaka jest siedmnasta litera w abecadle?“ „Siedmnasta— ? — *parbleu!* — A—B—C—D—“ „A coż“ odpowiedział ze śmiechem podporucznik. — „Widzi pan jenerał, jak łatwo można najrozsądniejszego człowieka zbałamucić; a wszakże jenerał umié przecież abecadło.“ Jenerał uśmiał się szczerze, i już się więcéj nie gniewał.

Redaktor Jan Nep. Kamiński — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.